

“Niezwykłe święta”

Wszystko rozpoczęło się pewnego dnia, gdy po otwarciu oczu uświadomiłam sobie, że znajduję się na mroźnym pustkowiu, zamiast w moim pokoju.

Uszczypnęłam się, lecz nadal tam tkwiłam. Gdzie ja się znajdowałam? Nagle ujrzałam drewniany domek, otoczony tysiącami lampek. Postanowiłam się tam udać.

Zapukałam do drzwi mosiężną kołatką. Natychmiast otworzyła mi je starsza pani. Pomimo podeszłego wieku i siwych, a nawet białych włosów, biły od niej serdeczność oraz ciepło. Przyglądała mi się przez moment, aż wykrzyknęła:

- Moje biedne dziecko! Wejdz, proszę, do środka!

Nie protestowałam i przekroczyłam próg. I natychmiast oniemiałam. Było tu jeszcze piękniej, niż na zewnątrz. W pomieszczeniu było pełno wieńców, lampek i innych dekoracji, a na środku stała przeogromna choinka. Ozdobiona była cudownymi bombkami, łańcuchami, świecami, a także słodyczami - piernikami oraz laskami cukrowymi. Jej blask i kolory nadawały pomieszczeniu (które, jak zauważyłam, jest o dziwo większe, niż wydaje się z zewnątrz) przyjemnej atmosfery. Obok drzewka znajdował się kominek, w którym tliły się wesołe płomyki. Podłoga była zakryta wielkim, białym, pluszowym dywanem. Starsza pani wręczyła mi kubek z herbatą i nakazała usiąść na fotelu przy kominku.

- Jak się tu znalazłaś? - zapytała.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Kobieta rozmyślałam nad czymś przez chwilę, aż rzekła:

- Powinam przedstawić ci mojego męża. Zaraz wrócę! - i zniknęła w sąsiednim pokoju.

Ale szybko z niego wyszła. Z grymasem niezadowolenia, zajrzała jeszcze do paru pokoi.

- Gdzie on się podział? - rzekła zamyślona, stukając się w brodę.

Zastanawiałam się przez moment, kim jest mąż tej przemijającej pani.

- Już wiem! Chodź za mną! - rzekła po chwili.

Staruszka zaprowadziła mnie do wielkiej sali. Znajdowała się tam bardzo długa taśma produkcyjna, po której sunęły się lalki, pluszaki i wiele innych zabawek. Przy taśmie stały niziutkie osoby po kolei pakujące przedmioty w pudełka, papiery i wstążki, a na koniec umieszczając na paczkach kokardy. Ludziki były ubrane w zieleń, miały spiczaste uszy i czapki z dzwoneczkami na głowach.

- Czy to?...
- Elfy? - dokończyła za mnie kobieta i zaśmiała się serdecznie. - Więc zapewne domyślasz się już, kim jest mój mąż.
- To niemożliwe!
- A jednak.

W tym samym momencie do sali wkroczył Święty Mikołaj we własnej osobie. A więc staruszka nie musiała już przedstawiać mi swojego męża, który był taki, jak zawsze go sobie wyobrażałam. Przetarłam ze zdumienia oczy, ale odziany na czerwono pan z białą brodą i małymi okularami na nosie nadal tu stał. Lecz po jego twarzy błędził grymas. Podeszedł do swojej żony i oświadczył:

- Święt w tym roku nie będzie.
- Co ty mówisz? - kobieta, podobnie jak ja, była mocno zdziwiona.
- Rudolf nie chce jechać. A pozostałe renifery nie zamierzają wyruszać bez niego. Nie potrafię go przekonać.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że dziś są święta! Rzekłam do Mikołaja:

- Panie Mikołaju, Święta muszą się odbyć!
- Racja. - zgodziła się ze mną Pani Mikołajowa. - Dlaczego jesteś taki sceptyczny? Zupełnie jak twój ojciec. Chodźcie, przekonam tego renifera.

Mikołaj burknął jeszcze coś pod nosem, ale już się nie sprzeciwiał i we trójkę ruszyliśmy do stajni, w której mieszkał uparty renifer i jego towarzysze. Żona Mikołaja otworzyła bramkę do legowiska Rudolfa i weszła do środka. Po chwili wyszła, a za nią wyłonił się zadowolony renifer ze wpół zjedzoną marchewką.

- Czas zaprząć resztę reniferów! - oświadczył uszczęśliwiony Mikołaj i poklepał Rudolfa po łbie.

Ruszyliśmy do garażu, gdzie znajdowały się sanie. Były czerwone i błyszczące. W saniach leżał worek z prezentami. Mikołaj wskoczył po nich, po chwili podając mi rękę.

- Chyba musisz wracać do domu, co?

Wskoczyłam do sań. Żona Mikołaja pomachała nam na pożegnanie.

- Do widzenia! - krzyknęłam.

Po drodze Mikołaj powiedział mi, że nie jest jedynym Świętym Mikołajem.

- Mikołaj jest zmieniany co kilkadziesiąt lat. Przede mną był mój ojciec, o którym mówiła już trochę moja żona. - żartobliwie wywrócił oczyma. - mój dziadek, pradziadek, i tak dalej.

I zanim się obejrzałam, sanie wylądowały już przy moim domu.

- Dziękuję, Mikołaju! Do widzenia! - rzekłam.
- Do zobaczenia! - uśmiechnął się starszy pan.

Jego sanie uniosły się, by po chwili wylądować na dachu mojego domu. Mikołaj z nich wyszedł i przyłożył palec do ust. Pomachałam mu po raz ostatni i weszłam do domu.

Nie mam pojęcia, jak znalazłam się przy chatce Mikołaja. Ale wiem, że znowu w niego wierzę.

Alicja Jarosz